DUSZY UWIELBIANEJ

NAKŁADEM AUTORKI
DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW
WARSZAWA 1906

ИЗЪ ТИПОГРАФІИ

Акц. Общ. С. ОРГЕЛЬБРАНДА СЫНОВЕЙ.

Симъ свидѣтельствую, что напечатано въ типографіи **Акц. Общ. С. Оргельбранда Сыновей** Изданіе подъ заглавіемъ:

„Duszy uwielbionej"

въ 1/16 долю листа, въ 2 1/2 печатаныхъ листовъ 200 экземплярахъ.

Варшава, іюля 20 *дня* 1911 *года.*

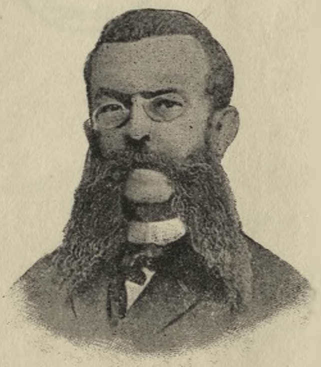
За Содержателей Типографіи [illegible]

DUSZY UWIELBIANEJ

A. K.

DUSZY UWIELBIANEJ

NAKŁADEM AUTORKI
DRUK TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW
WARSZAWA 1906





DUSZY UWIELBIANEJ

Ojcze! Ten słodki, pełen czci wykrzyknik oddawna zamarł na moich ustach; przebrzmiał na zawsze i żadna ludzka potęga nie wskrzesi go na nowo; lecz pamięć o Tobie wyryta spiżowemi zgłoskami w przesiąkłem tęsknotą mojem sercu, wiecznie trwać będzie i chyba razem z tem sercem możnaby z piersi mi ją wydrzeć.

W błękitnych mrokach, kiedy dzień gasnąć poczyna, kiedy ustaje gwar mącący błogosławioną ciszę, wówczas całą potęgą natężonej woli, przywołuję Twoją postać ukochaną,

patrzę na nią oczami duszy mojej; okruchami pamięci z lat dawnych, z lat niepowrotnie minionych, staram się odtworzyć tak drogie dla mnie rysy, — Twe szlachetne rysy mój Ojcze!

Z oczu ci patrzy smutek wielki, przepastny, niezgłębiony; usta drżą ogromnym niewysłowionym bólem, który w sobie pielęgnowałeś od kolebki, bólem, co rósł i rozwijał się w Tobie wraz z Tobą. Trudno jest wygnać z duszy tęsknotę, którą się z sobą na świat przyniosło, której korzenie głęboko tkwią w całej naszej duchowej istocie i karmią się naszą krwią serdeczną. Tyś od kolebki do grobu patrzył na świat przez pryzmat onego duchowego bólu, onej żrącej tęsknoty; wszystkie więc twory natury nosiły na sobie w wyobraźni Twojej znamiona klątwy, co zaciążyła na prarodzicach naszych i nie przestaje ciążyć na ich potomkach. W Twoich oczach przeczyste i najbardziej lazurowe niebo, zawsze było zasnute popielną mgławicą, a promienne groty słońca raniły chorą Twą duszę zbytnim blaskiem. Puhar Twojego szczę-

ścia i radości zawsze był zaprawny piołunem, a wszystko, czegoś się dotknął w życiu, rozsypywało się w szary, znikomy proch, ukazując Ci całą marność ludzkich wysiłków i zabiegów. W najskrytszych tajnikach Twej duszy drzemało nieuchwytne, mroczne poczucie, że nigdy, nigdy nie zdołasz urzeczywistnić na ziemi Twych, duchem wyśnionych, snów. Nieprzebrane skarby, brylanty uczuć czystych jak łza, perły natchnień poetyckich, rubiny płomiennych porywów spoczywały głęboko ukryte na dnie Twego serca; zgadywałeś intuicyjnie ich obecność, ulegałeś nieprzepartej chęci wydobycia ich ztamtąd, gdzie legły przyprószone pyłem półświadomości; i lata całe trawiłeś na wyszukiwaniu złotego klucza, mogącego Ci otworzyć tę tajemniczą Golkondę, kryjącą w swych podziemiach zagadkę Twego bytu, — lecz do końca życia owego drogiego klucza nie znalazłeś, aż wreszcie otworzyło Ci tę skarbnicę ponure widmo śmierci, plenne w niebiańskie obietnice. Swoje czarne, smutne oczy miałeś zawsze zwró-

cone wewnątrz siebie, gdzie na ołtarzu Twego serca płonęła lampka ofiarnych poświęceń. Ale oblicze Bóstwa zakrywała gęsta opona, którą daremnie usiłował uchylić Twój duch, łaknący mistycznej miłości. Ból i cierpienie były codzienną Twoją strawą, mój Ojcze, i wyryły głęboką brózdę na Twem chmurnem czole. Zdawało się, że Stwórca, miłujący czystość, przepuszcza to kryształowe, nieskalane serce przez ogień probierczy mąk i katuszy moralnych, ażeby je bardziej jeszcze uszlachetnić cierpieniem i ze wszystkich pyłków ziemskich oczyścić. Tyś w oczach moich bez grzechu, bez skazy, mój Ojcze! a ilekroć stajesz przedemną siłą przypomnienia, zawsze ci towarzyszy liczny orszak najprzedziwniejszych cnót, których widok wywołuje w duszy Twej córki niewypowiedzianą radość i szczęście, a zarazem obudza w niej pragnienie naśladowania Ciebie choć w milionowej części. Tobie też zawdzięczam te najszlachetniejsze pierwiastki duszy mojej, wyłaniające się niekiedy z zamętu pospolitych wad i ułom-

ności, właściwych zepsutej naturze człowieka. Ilekroć serce moje zabolało na widok nędzy ludzkiej, czułam, że to Twoje serce wzruszyło mojem własnem i to nietylko wtenczas, kiedyś chodził po świecie w widomej postaci doznawałam tego uczucia, lecz i teraz z niemych przestworzy, w których buja Twój duch, przybrany w anielskie szaty, nie przestajesz zacnego wpływu swego na mnie wywierać; obudzasz we mnie, często mimo woli mojej, gorącą świętość uczuć, któremi promieniała cała Twa duchowa istota za życia. Niewolisz mnie niejako do rozwijania myśli, które poczęły się dopiero w Twym umyśle, niezdolne dalej się kształtować, gdyż przepracowany Twój mózg, biedny mój Ojcze, nie miał już mocy stroić ich w barwne, olśniewające szaty, które niezbędne im były, ażeby trafić do serc ludzkich, rozgrzać je i uświęcić!

Owe pierwiastki Twego twórczego talentu jam skrzętnie zebrała po Tobie, mój Ojcze, przechowując je troskliwie

w najbardziej zamkniętych głębinach mej istoty. Pod wpływem natchnień, które do mnie spływają ztamtąd gdzie teraz przebywasz w nieprzemijającem jestestwie, w cieple żarzących promieni, któremi mnie oświecasz, dojrzewają one powoli, i wkrótce zrzucą z siebie lichą powłokę, a przybiorą świetlaną, błyszczącą od jaskrawych barw, postać motyli. Jam odziedziczyła po Tobie to zamiłowanie do pióra, pod którego magicznym wpływem tają tęsknoty serca, wykwita miłość płomiennym kwiatem, pierzchają urazy żywione do nieprzyjaciół, goją się rany zadane miłości własnej przez nieoględność ludzką. To pióro niby klucz Sezamowy otwiera przed oczami znużonemi oglądaniem wiecznie tych samych smutków i nędz ludzkich, przedziwne światy, w które zatopiwszy swój wzrok, zapomina się o wszelkich bólach piekących. A więc niech Ci się wywdzięczę za te chwile rozkoszy, których doznaję dzięki spuściznie duchowej, otrzymanej po Tobie, mój Ojcze. Niech za pomocą pióra wskrzeszę

pamięć o Tobie. Na wzór mitologicznego feniksa, który się odradzał z własnych popiołów, niech duch Twój powstanie z popiołów, w których go pogrzebało zapomnienie ludzi i niech na nowo odżyje. Oby Twe imię tu wypisane nigdy nie zamarło na ustach tych, którzy Cię za życia kochali, czcili i uwielbiali; oby je przekazali następnym pokoleniom, jako imię, które nosił człowiek-anioł, co cicho przeszedł po ciernistej ścieżynie życia, nie czyniąc nikomu krzywdy, nawet najlichszemu robaczkowi, a za to siejąc obficie ziarno dobrych uczynków, budujących słów i przykładów.

*
*   *

Wiosenny wieczór, cichy, łagodny, słodki, jak dziewicze tchnienie; powietrze przesycone odurzającą wonią kwitnących bzów, co liljową chmurą zawisły na krzewach; słowik w dźwięcznych trylach wypowiada swą miłość gorącą dla kochanki, a Ty, mój Ojcze, siedząc przy fortepianie o tej

pełnej rozlewnych tajemnic godzinie, wtórujesz słowikowi. Z pod palców Twoich nerwowych, drżących, płyną tony pełne niewypowiedzianego smutku i jakiejś bezdennej rozpaczy, które znajdują echo w mem dziecięcem sercu, chłonącem z rzadką w tym wieku chciwością dźwięki smętnych melodyj. Ta cicha, wieczorna pieśń zda się zawierać bolesną skargę; to Ty, Ojcze, skarżysz się Najwyższemu, że Cię stworzył tak różnym od innych Twych współbraci, że ich mowę prostą, ale tak nizko po ziemi pełzającą z trudnością rozumiesz, że musisz czynić nadludzkie wysiłki, ażeby myśl swoją, wytryskującą w górę świetlanem źródłem nieskończonych pragnień, chceń wiekuistych, zastosować do ich myśli wązkiem korytem płynących wśród stepów porosłych burzanami, ostami lichych ludzkich zabiegów, próżnych cielesnych żądz. To znowu w brzmiących silnie akordach, wypowiadasz wszystkie żale i tęsknoty, nagromadzone w duszy przez tyle lat. Wszystko dla Ciebie stało się piekącym bólem, szarpiącym serce

na szmaty: i ciężkie krajowe warunki, wśród których musiałeś żyć, i ucisk Twych współziomków, — wreszcie kajdany moralne, któremi wróg spętawszy polskie serca, trzyma je na uwięzi, nie dozwalając im żywiej, silniej uderzyć, za swoją sprawą.

Odtąd co wieczór się odzywały te dźwięczne skargi, wznosiły się w górę, usiłując przebić kopułą niebieską i z żałosnym jękiem rozbić się o złocisty tron Wszechmocnego, aż pękła dźwięczna struna uczuciowa, nawiązana na Twem sercu, i razem z tem sercem spoczęła w ciemnem grobowcu i już nigdy więcej się nie odezwie słodkiem brzmieniem; nigdy! przenigdy!

*

* *

Pokój ciemny o jednem parapetowem oknie, wyglądającem na balkon; na ścianach wiszą portrety przodków; z bogatej ramy wychyla się postać mojej matki, strojna,

uśmiechnięta; na środku pokoju stół: to jest Twoja kancelarya, przybytek do którego nikt wolnego wstępu nie ma oprócz nas dwóch, Twoich córek. Tu miewasz, Ojcze, codzienne wykłady, podczas których usiłujesz wlać w młode nasze umysły te wszystkie wiadomości, nauki, które powoli wzbogacały Twą encyklopedyczną wiedzę; z cierpliwością i łagodnością niesłychaną, objaśniasz nam, czasem po kilka razy te same historyczne fakty, te same literackie szczegóły, których wątła nasza pamięć odrazu sobie przyswoić nie jest w stanie; rozwijasz cały zasób erudycyi ku pożytkowi naszemu, nie żałując na to ani czasu, ani wymowy. Ty, zwykle taki milczący w towarzystwie, teraz, kiedy chodzi o wzbogacenie umysłu Twoich córek, wydobywasz z siebie skarby elokwencyi; słowa Twoje płyną potokiem, usiłując wniknąć do głębi naszej istoty, wyryć się tam na zawsze. Nocami opracowujesz podręcznik, któryby nam ułatwiał studya historyczne, a we dnie malujesz olbrzymie tablice chronologicz-

ne, które dotąd, jako świętą po Tobie pamiątkę przechowujemy z największą czcią. A przy nauce nigdy ostrzejszego słowa, nigdy surowej nagany; zawsze dobroć niesłychana, łagodność niebiańska, towarzyszą każdemu przez Ciebie wypowiedzianemu zdaniu, promienieją z każdego Twego spojrzenia. Miłość, uświęcająca ludzkie serca, rozlaną jest na Twem obliczu i nigdy z niego nie schodzi. Ty miłością czystą, gorącą, nakształt płomiennego pierścienia, obejmujesz cały świat żyjący, wszystkie boskie twory bez wyjątku. Tyś wielki miłośnik wszechistnienia.

* * *

Czasem błąkam się w noc księżycową po parku, po owym parku przez Ciebie założonym, mój Ojcze; podnoszę załzawione oczy ku górze i gwiazdom się żalę: „Gwiazdy, wy gwiazdy, co nakształt złocistych ćwieków, tkwicie w modrym kobiercu niebios, czemuż nie zdołałyście przykuć siłą waszego wzroku duszy mego Ojca do ziemi?"

I zwracam się do kwiatów przydrożnych z tym samym wyrzutem: „Kwiaty, wy moje kwiaty wonne, aksamitne, czemuż nie rozesłałyście się miękkim kobiercem pod jego stopami, które ciernie życia tak strasznie raniły, że krew gęstemi kroplami się z nich sączyła".

I do ptaków także przemawiam, do tych ptaków, co się do snu wśród gęstwiny listnej układają, a które Bóg stworzył dla rozweselania serc ludzkich: „Słodkie wy moje ptaszyny, czemuż śpiewem waszym nie rozpędziłyście mroków smutku i zwątpienia, co w duszy jego z każdym dniem bardziej się gromadziły?"

I zawsze tę samą niezmienną odpowiedź otrzymuję od gwiazd, od kwiatów i ptasząt: „Co znaczyć mógł nasz urok ziemski wobec siły nieśmiertelnej, co Go przyciągała do krainy zamieszkałej przez duchy. On nie był z tego świata!

*

* *

Gdzieś jest, mój Ojcze, i gdzie przebywasz? Stęsknione myśli moje gonią za Tobą w nadniebne krainy, okiem ludzkiem nie dojrzane. Marna powłoka ziemska, w którą opancerzoną jest moja dusza, czyni mi niedostępną tajemnicę teraźniejszego Twego bytu. Intuicyjnie jednak zgaduję, że żyjesz tam pełnią życia, jakiej my pojąć nie możemy: że spoczywasz na tęczowych gwiazdach, olśniewających swoim przedziwnym blaskiem; że na dźwięcznej harfie Twej anielskiej duszy nawiązane są wszystkie struny, o jakich kiedykolwiek zamarzyć mogłeś; a Ty ze strun tych wydobywasz i piorunom podobne akordy, co głębiny morskie i światy w posadach swych wstrząsają, i pieśni rzewne, w których tęskne tony zasłuchane cherubiny, łzy perliste ronią; że w przestworzach niebieskich zbierasz dźwięki i tony, barwy i światła, kojarzysz je według woli Swojej, doszłej do pełnej świadomości i potęgi, w cudowne melodyjne obrazy, przy których zgasłyby twory najprzedniejszych mistrzów pędzla, któremi

się tak ongi lubowałeś. Rój duchów wybranych otoczył Cię zwartem kołem, wieńcem mistycznych kwiatów, lśniących blaskiem drogich kamieni, a Ty gorejesz wśród nich jasnością niepokalaną białej lilii, w której kielich spłynęły brylantowe krople zasług, zebranych przez Ciebie za życia na żywot wieczny. Przestworze niezmierzone, przeolbrzymie, któremu Wszechmoc boska żadnych granic nie zakreśliła, otacza Cię zewszad, mój Ojcze, a zawieszony nad niem zegar wieczności wybija miarowo te dwa wyrazy: „Zawsze, nigdy, zawsze, nigdy". I znikła Ci z oczu ta marna nasza planeta, dla której mieszkańców czas wlecze się żółwim krokiem, a każda godzina spada na znużone serce ołowianą kroplą; gdzie przestrzeń ograniczona i czas zakreślony zorzami tamują wszelkie porywy ducha i ściskają go w obręcz żelazną. Ciebie więc nie może już obchodzić to miłe ustronie, gdzie się rozwinęła tragedya Twego życia, ani dom, w którym spędziłeś ćwierć wieku, przy boku ubóstwionej i najpiękniejszej

z żon i dwóch cór, gotowych życie oddać za Ciebie. Tyś, odchodząc od nas, nic nie stracił; nas tylko pozbawiłeś wszystkiego; zgasł bowiem dla nas na zawsze płomień Twej niepospolitej mądrości, którym rozświecałeś mroki naszej inteligencyi; zamarło żywe Twoje słowo, którem umiałeś ducha obudzić z uśpienia i zachęcać go do czynów szlachetnych. Osierociłeś i maluczkich, których losem tak bardzo się zajmowałeś, że do dziś dnia z pod każdej wieśniaczej strzechy, okalającej nasz dwór, wzbijają się prośby modlitewne, ażeby Bóg Wszechmocny stokrotnie oddał Ci to wszystko, coś dla ubożuchnych sług Jego uczynił. Wyschła i wyczerpała się na zawsze struga złota i srebra, co się w palcach Twoich zamieniała w dobroczynne źródło, wszelakie nędze ludzkie kojące.

* * *

Nieraz zachodzę do biblioteki, gdzie spędziłeś większą część swego życia, wśród starych pergaminów, spłowiałych

ksiąg mądrości, i pyłem wieków zakurzonych szpargałów. I zdaje mi się, że widzę wyraźnie Twoją postać, siedzącą przy biurku, z głową pochyloną nad arkuszem papieru, który wolno, niezmiernie wolno pokrywasz sznureczkami czarnych liter; praca idzie mozolnie, gdyż wymaga wielkiego wysiłku i natężenia umysłu, a przytem upiorny nietoperz melancholii zawisł ponad Twoją głową i zmusza Cię coraz częściej, ażebyć na niego spoglądał. W ciemnych kątach pokoju czają się przerażające widma nieokreślonego smutku i niezrozumiałej jakiejś rozpaczy. Zrazu hipnotyzują Cię one zdaleka; powoli jednak przykuwają do siebie Twoje zmysły; przemocą wślizgują się do Twego umysłu, zalewają go nakształt natrętnych, ciemnych fal; wreszcie opanowały całą Twą duchową istotę, niepozostawiając ani grudki stałego lądu; dusza Twa zamieniła się teraz w ocean spienionych, krwawych bałwanów, które z przeraźliwym i żałosnym jękiem przewalają się, wznoszą w górę, to znów opadają w nagle otwarte zawrotne

przepaście, i płaczą i jęczą, i tak płakać i jęczeć nigdy już nie przestaną. Noc beznadziejna zapadła w Twoim umyśle; zaćmiła całkiem płonącą w nim zorzę Twego genialnego rozumu; skazany zostałeś na wieczyste ziemskie ciemności, których już nie rozproszy najbardziej złocisty promień słońca, najbardziej uroczy uśmiech na ustach Twej małżonki; aż wreszcie własne życie złożysz na ołtarzu poświęceń rodzinnych, nie chcąc być nadal ciężarem dla najdroższych Ci osób.

*
*   *

Noc bezgwiezdna, ale nie tak dalece ciemna, ażeby poprzez jej zasłonę nie widać było otaczających przedmiotów. Z matką naszą zwykłyśmy do późna chodzić po dworze, choć zdaleka śledząc Twoje kroki i nie chcąc Cię samotnego zostawić, a sen dopiero nad ranem przychodził Ci przymykać znużone powieki, nieszczęśliwy mój Ojcze. Pomnę ten smutny wieczór jakgdyby to było

dziś. Cisza, która dokoła nas panowała, miała w sobie coś zatrważającego; czułyśmy wyraźnie jak w przestrzeni nieokreślonej, gdzieś od nas daleko, w zawrotnych głębiach przeznaczenia, ważą się losy osoby nam niezmiernie blizkiej i drogiej. Miałyśmy tę dokładną świadomość, że jakiś potworny, drapieżny ptak zawisł nad nami w powietrzu, i zagiąwszy szpony, czeka tylko sposobnej chwili, ażeby się rzucić na upatrzoną przez siebie ofiarę i porwać ją. Mówiłyśmy bez przestanku, jakgdyby z przyzwyczajenia, pragnąc zagłuszyć dźwiękiem naszych słów tę grobową, przerażającą ciszę, robiąc na przyszłość projekty, w których urzeczywistnienie same nie wierzyłyśmy. Wtem, na zakręcie alei, czarna Twa sylwetka, mój Ojcze, zarysowała się na szarem tle nieba; głowę miałeś, jak zwykle, w dół spuszczoną, ręce skrzyżowane na piersiach, i zdawało się, że tak Cię przytłacza ogrom bólu, który w sobie nosisz, iż nie masz siły ani kroku dalej postąpić. Straszny był ten obraz powalonego Tytana,

który w owej chwili przedstawiałeś; Ty, dawniej tak wielki w oczach ludzi, rozumem swym oraz umysłowemi zdolnościami o całą głowę przewyższający zwykłych śmiertelników, dziś słabszy od dziecięcia i tak w siebie nie ufny; mający ręce spętane żelaznemi kajdanami, gdyż odkąd lekarze zabronili Ci piórem władać, uważałeś się za najnieszczęśliwszego z więźniów.

Wieczerzę jedliśmy późno tego dnia, wszystkie trzy siliłyśmy się na wesołość, ażeby wywołać choć blady uśmiech na Twych spieczonych wargach, ale daremnie... daremnie... Byłeś jakiś posępny, zamyślony, i niewypowiedziana boleść malowała się w Twych przerażonych oczach. Pamiętam ostatnie zdanie, które w życiu z ust Twych usłyszałam. Siostra moja miała zwyczaj chować do bufetu owoce, które miały pozostać na następny dzień dla Ciebie. Tym razem rzekłeś do niej wolno, z odcieniem smutku w głosie: „Dziecko, nie zadawaj sobie tego trudu, już mi nie będą potrzebne

te pomarańcze". Przed udaniem się na spoczynek odmówiłyśmy z siostrą wieczorne modlitwy przy otwartem oknie; raz podniosłyśmy oczy w stronę dziedzińca i wzrok nasz spotkał się z Twoim wzrokiem, mój Ojcze. Snać chciałeś się z nami ostatni raz pożegnać niemem pożegnaniem, które więcej stokrotnie znaczyło, aniżeli wszystkie wymówione słowa na świecie, i zarazem było stokroć więcej od słów rozdzierające.

*
* *

Życzeniem Twojem zawsze było, ażeby Cię chowano bez owej pogrzebowej świetności, która zwykła ludziom śmierć czynić straszliwą i zrażać do niej umysły. Marzyłeś także o tem, ażeby pogrzeb Twój odbył się w pogodny, słoneczny dzień. I rzeczywiście, w spełnieniu Twych idealnych pragnień, przyroda zespoliła się z miłującemi Cię sercami, ażeby zadość uczynić ostatniej Twej woli.

Dotąd żywo mi stoi przed oczami widok trumny, zawierającej szczątki mego drogiego i nieodżałowanego Ojca. Ostatnie to pożegnanie męża z ukochaną żoną, Ojca z córkami, pana z ubóstwiającymi go sługami i domownikami, dobroczyńcy z ubogimi, których w nędzy i niedoli zawsze wspierał. Postawiono tę trumnę po raz ostatni na ganku domu, do którego pan jego nigdy więcej nie powróci, nigdy nie zajmie miejsca w pośród biesiadników koła, nigdy dźwięcznym głosem do nich nie przemówi. I długo nad tym domem sztandar smutku i żałoby powiewać będzie i długo imię Jego z ust bliskich mu osób i włościan, dla których był Opatrznością, schodzić nie będzie.

Ksiądz drżącym i zdławionym od wzruszenia głosem wygłosił mowę pogrzebową; po tłumie przeleciał jęk bólu, który, stłumiony na chwilę, rozpłynął się zaraz w potok łez i jęków żałosnych i tak wyruszył orszak, sunąc wolno, wolno, jakby pragnął odłożyć do nieskończoności bolesną chwilę

wiekuistego rozstania z drogiemi mu zwłokami. Wóz zaprzężony w sześć ciemnych koni toczy się smutnie pomiędzy opustoszałemi chatami wiejskiemi, gdyż co tylko żyło we wsi podąża za karawanem. Skręca on potem na lewo i wspina się na stromy pagórek, skąd wspaniały widok roztacza się dokoła. Ostatni raz żegna Cię szklana rzeka, która modrą wstęgą opasuje Twój park, ta rzeka, na której wzburzonych falach nieraz pędziłeś w gibkiej łódce. Żegnają Cię srebrzyste mewy, unosząc się nad trumną i zataczając nad nią śnieżyste kręgi; żegnają siostrzaną im duszę, Twoją duszę, mój Ojcze, która nieraz z niemi obcowała, a białością swoją w niczem nie ustępowała białości mew przeczystych. Złote kłosy, srebrzyste owsy pokłon biją przed wozem i nisko się ku ziemi pochylając, szmerem prawie niedosłyszanym wyrażają swój ból i tęsknotę, a konie jakgdyby rozumiały, że pana swego odwożą na miejsce ostatniego spoczynku, smutnie kołyszą głowami i zdają się uginać pod ciężarem trumny.

Zdala słychać dzwony kościelne... Jęczą jakby im serca mosiężne miały pęknąć.

*

* *

Przechodniu, ktokolwiek jesteś, a zdarzy Ci się przejść obok cmentarza, na którym spoczywają zwłoki tego świętego człowieka, westchnij za jego duszę i przyspiesz błogosławioną chwilę Jej wyzwolenia. Modły moje gorące, płomienne, przebijcie bramy czyścowe, jeśli w tym przybytku mąk strasznych dotąd jeszcze pokutuje za lekkie przewinienia ta dusza anielska; wyrwijcie ją z nieugaszonych płomieni i na łono Boga wiekuistego Ją zanieście. Ach! serc mi potrzeba! serc miłujących pamięć mego Ojca. Pragnęłabym więc, ażeby takie serce spoczywało na dnie kielicha każdego kwiatu, i ażeby takiem sercem było obdarzone każde drzewo, co listkami swemi szepcze wieczorne pacierze, pod gwiaździstą kopułą niebios, i każda ptaszyna, co w błękitnem prze-

stworzu dzwoni dźwięcznym swymś piewem i miłą jest przez to swemu Stwórcy. Lasy Wolickie, w których błękitnej omroczy On szukał ciszy i ukojenia po całodziennych znojach i ciężkich troskach, zaszumcie: „Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie!" Podajcie potem tę prośbę lotnym wichrom, co ją na skrzydłach swoich wysoko poniosą i na harfach gwiezdnych ją położą, ażeby bezustannie ową modlitwą dźwięczały. Niech cała przyroda załka jedną bolesną skargą, błagając miłosierdzia Twego, mój Boże, nad Jego duszą.